

665



Barokowe cacko, czyli „Komedia pasterska” J. A. Morsztyna wg Tassa. (Na zdjęciu: G. Szapolowska, E. Kamiński, M. Trybala).

Fot. CEZARY MAREK LANGDA

Hanuszkiewicz jak żywy

TEATR

RITA GOŁĘBIEWSKA

DAWNO NIE WIDZIAŁAM W teatrze, żeby ludzie płakali. A tak jest ciągle w Teatrze Narodowym na przedstawieniach „Śpiewnika domowego” Stanisława Moniuszki. Ostatni spektakl Adama Hanuszkiewicza budzi nieklamane emocje — po prostu. Wzruszenie udziela się i widzowi, i scenie. Przecież płaczą nie tylko widzowie, lzy w oczach (wcale nieteatralne) mają także aktorzy, czuje się to pulsowanie między publicznością a sceną. Można by powiedzieć, że spełnia się tu prawdziwie fenomen teatru — katharsis, oczyszczenie i pojednanie.

Spełniło się więc Hanuszkiewiczowi na finał w pożegnalnej inscenizacji w Narodowym. wieńczącej 14-letni okres dyrekcji, porozumienie z publicznością, bardzo emocjonalne; choć i wcześniej, nie raz, i nie dwa, robił teatr, który wzruszał, bulwersował, zachwycał albo działał na nerwy. Mówiąc najkrócej: teatr nieobojętny. Lecz na takie, a nie inne przyjęcie „Śpiewnika...” złożyły się jeszcze dodatkowe okoliczności. Na pewno odejście Hanuszkiewicza i podrażnione sentymenty, na pewno na-

rodowa, bliska sercu tonacja spektaklu i stan umysłów oraz serc dzisiaj.

Oglądałam „Śpiewnik domowy” po raz wtóry niedawno, w tygodniu, podczas „normalnego” wieczoru. Od premierowego (i pożegnalnego dla Hanuszkiewicza) przedstawienia minęły już trzy miesiące — a wzruszenia nadal nie opadły. Pełna sala, dużo starszych pań i młodzieży, publiczność bije brawa na stojąco, zespół ma już przygotowane bisy. I ta przedziwna gorąca atmosfera.

Wszystko sprawił Moniuszko, poczciwy nasz Moniuszko w „repertorium śpiewów krajowych” czyli w pieśniach wybranych z 12 „Śpiewników domowych”. Moniuszkowskie pieśni Hanuszkiewicz rozpiął na głosy aktorów i zrobił widowisko. Tego jeszcze nie było, żeby wyspiewywać Moniuszkę na zespół teatru dramatycznego (acz bądźmy szczerzy: zadziwiał już Hanuszkiewicz niejednokrotnie pomysłami — „Kordianem” na drabinie czy „Balladyną” na motorach...).

Czy traktować „Śpiewnik domowy” na scenie jako insceni-

zatorski eksperyment i sprawdzanie możliwości teatru, czy jako dokopywanie się do rodzimej tradycji, gdziekolwiek ona tkwi? Można i tak, i tak. Nie ma zresztą chyba wielkiego „przestępstwa”, że scena dramatyczna bierze się za utwory narodowego kompozytora. Jak przypomina Jerzy Waldorff w programie — w naszej teatralnej tradycji scena operowa i Teatr Narodowy wystawiały wymiennie repertuar i żyły blisko. No i nie jest nigdy za późno, aby nadrobić kontakty z muzyką — którą u nas zwykle dystansowała poezja — by przywołać zapomniane swojskie śpiewki.

Śpiewano je przecież niegdys w salonach, w gronie rodzinnym, wśród dorosłych i młodzieży. Moniuszko pisał pieśni z myślą o powszechnym odbiorcy, był w zamierzeniu popularne, przeznaczone do wykonywania w domu, z ducha romantyczne i rodzime. Wiersze dobierał Moniuszko starannie, samych wybornych poetów od Kochanowskiego po Mickiewicza, nie pomijając także Szekspira i

Goethego. Spośród 260 pieśni część pomieścił sam kompozytor w sześciu zbiorach za życia, pozostałych sześć śpiewników opublikował jego uczeń, Władysław Rzepko. Wstyd przyznać, ale dla mojego pokolenia te śpiewniki nie były śpiewnikami domowymi. Raczej materiałem archiwalnym — zasłyszonym gdzieś w radiu czy na koncertach.

A tu Hanuszkiewicz wyklada śpiewnik na scenę: wsłuchajmy się, to jest nasze, to w nas tkwi. Robi muzyczno-poetycką repetycję, w której nutka nostalgii i patriotyzmu, polski koloryt i radość śpiewania. Tak, tak, bo zespół Narodowego rozśpiewany i widać mocno w śpiewaniu ćwiczone, piosenkuję z ochotą i wdziękiem. Nie mówiąc o solistach, którzy idą ze sobą o lepsze — na czele ze śpiewaczką Aliną Bolechowską (gościnnie), z rewelacyjną, o dużym głosie i komicznym nerwie Agnieszką Fatygą i lubiącą jazzowe interpretacje Anną Chodakowską. Raz dumka, raz wesoła bajka, to liryczna pieśń miłosna, pobudka patriotyczna i tak dalej, i tak dalej. Inscenizatora ponosi temperament, rozbudowuje pieśni w scenki, nie bojąc się interpretacji humorystycznej, pastiszowej i jazzowej nawet. (Kto by pomyślał, że można śpiewać „Znasz li ten kraj” w aranżacji jazzowej Nahornego?).

Sielski obraz z kołowrotkami i szumiącym zielskiem, gdzie pastelowo i koronkowo, ustępuje w końcu miejsca scenie niczym z Grotgera. Bo w części drugiej, w dramatycznym „żywym obrazie” z rodziną w żałobie pokazuje Hanuszkiewicz, czym była pieśń w powstaniowej scenarii. Po modlitwie i pocieszeniu musi już tylko wybuchnąć dziarski mazur na finał... I nie dziwi mnie wcale, że myśl tego „Śpiewnika domowego” publiczność odczytuje serdecznie i wprost. Ku pokrzepieniu serc, bo czy to wstyd? Więc chociaż „Śpiewnik...” nie jest przedstawieniem dopracowanym do końca, bo przygotowywano go pośpiesznie, by zdążyć na pożegnanie, chociaż niezupełnie spójny, można zrozumieć ten entuzjizm odbioru.

Na jedno jeszcze warto zwrócić uwagę — że to śpiewane widowisko według Moniuszki stanowi właściwie jakby ukoronowanie dotychczasowych prób w teatrze Hanuszkiewicza ożenienia poezji z muzyką. Hanuszkiewicz bierze tę próbę na własny rachunek — jako Autor przedstawienia (tak podpisuje się w programie począwszy od „Leśmiana”). Gest to czy wyzwanie?

W przypadku „Śpiewnika...” — zwycięstwo. Podobnie, choć w innym stopniu — w ostatniej, pożegnalnej inscenizacji w Teatrze Małym, gdzie na afiszu poetyckie cacko, czyli „Komedia pasterska” Jana Andrzeja Morsztyna według „Amintasa” Torquata Tassa. Z małą sceną Narodowego pożegnał się Hanuszkiewicz akurat na jej 10-lecie, bywa i

tak, ale za to uroczym spektaklem w formie sielanki. Tutaj znów sprawdziła się inwencja inscenizatora, który sięgnął po rzecz spoza kanonu repertuarowego. Przecież „Komedia pasterska” jest teatralnym odkryciem: wreszcie mamy po 330 latach prapremierę tej renesansowej, głośnej dramma pastorale, przełożonej na język baroku przez znakomitego poetę. Trzeba było teatralnej odwagi, żeby sięgnąć po tę starość.

Hanuszkiewicza musiała jednak zafascynować materia utworu — już barokowa, wspaniała, mięsista. Był to obszar teatru dotąd nie penetrowany, zresztą same strofy barokowej poezji stanowiły dostateczną pokusę. I zrobił Hanuszkiewicz pasterską sielankę — w której pasterze wygłaszają poetyckie tyrady o miłości i przeżywają miłosne katusze — z całym dobrodziejstwem inwentarza. Ano tak, gdyż na tle natury, z prawdziwymi baranami i siano na scenie. Chwył efektowny i przewrotny, iście Hanuszkiewiczowski. Bo czy w gruncie rzeczy ta dosłowność nie tłumaczy sielanki i nie współbrzmi z poezją? Z jednej strony staroświecki gatunek literacki, a z drugiej — barany będące świadkami miłosnych tarapatów. Albo — obrazowy, jedyny język baroku i równocześnie namacalna plastyka scen.

Pewnie nie byłaby „Komedia pasterska” więcej niż odgrzebanym zabytkiem, gdyby nie materia teatru, wspierająca materię słowa. Wszak opowieść o niešťczęśliwie zakochanym Amintasię reżyser i aktorzy traktują ze współczesną wrażliwością i przez dzisiejsze poczucie humoru. Jednocześnie nie gubiąc nic z pięknego słowa. Barokowe strofy mówią aktorzy znakomicie i jest to w gruncie rzeczy spektakl

bardzo aktorski, dzięki zwłaszcza promieniejącej pogodą Zofii Kucównie i przeźabawnemu Emilianowi Kamińskiemu. Jeśli aktorzy odnoszą triumf nad barokowym słowem, reżyser triumfuje nad sielanką.

Jako widz wątpię, co prawda, aby wysmakowana „Komedia pasterska” miała tak powszechny odbiór jak „Śpiewnik...” pana Moniuszki. Jednakże prozycja Hanuszkiewicza wydaje się na miarę jego dotychczasowych poszukiwań i teatru autorskiego, jaki robił w Narodowym.

Cóż, pewien okres w Narodowym jest już zamknięty, czas kiedy ta scena żyła inscenizacjami Hanuszkiewicza i nosiła wyraźne piętno swego błyskotliwego dyrektora. Będzie się pewnie pisać prace magisterskie o tym, jak Hanuszkiewicz bulwersował pomysłami, jak ciał i lepił po swojemu klasykę, jak przyciągał do teatru młodzież. Ktoś nazwie to efekciarstwem, ktoś będzie sprawiedliwie doszukiwać się odkrywczej myśli i zasług. „Norwid”, „Nie-boska...”, „Beniowski”, „Fredro”, „Mickiewicz”, „Wacława dzieje”, „Balladyna”, „Sen srebrny Salomei”, „Treny...” były, te inscenizacje swego rodzaju wydarzeniami i przeszły z rozgłosem, potwierdzając chrońniczną niechęć Hanuszkiewicza do teatru nudnego i nijakiego. Psioczono na Hanuszkiewicza, ale przychodzono do jego teatru.

W tej chwili zabrzmiało bardzo żalobnie, a przecież nie ma to być epitafium dla Hanuszkiewicza. Ostatnie inscenizacje można jeszcze oglądać i na pewno pomysłowość tego reżysera nie wyczerpała się po opuszczeniu dyrektorskiego fotela. Myślę, że nawet teraz Hanuszkiewicz będzie mógł liczyć na nowych sprzymierzeńców w publiczności. Czas, jak wiadomo, koł nerwy.



„Śpiewnik domowy” Stanisława Moniuszki — ostatnia inscenizacja Adama Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym wyciska łyzy. (Na zdjęciu: Bohdana Majda i Henryk Machalica śpiewają o losach Dziada i Baby).
Fot. CEZARY MAREK LANGDA